

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 494·— Marek, Półrocznie 998·— Mk. Rocznie 1976·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 40 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 24 września 1921. Nr. 39

Bandytyzm hula



Nocny napad zamaskowanych bandytów na zagrodę włościańską w Lubelskiem.

Od Wydawnictwa.

Z powodu świeżej podwyżki płac personalu drukarni i kliszarni, oraz dalszego podrożenia papieru i chemikalìów, gazu i elektryczności, oraz taryfy przewozowej, zmuszeni jesteśmy podnieść z dniem 1. października b. r. cenę *„Nowości Illustrowanych“* na **50 Marek** za numer, wobec czego prenumerata naszego pisma wynosić będzie odtąd:

Kwartalnie . . . 617·50 Mk.
Półrocznie . . . 1235·— „
Rocznie . . . . 2470·— „

P. T. Czytelnicy zatem zechcą zrozumieć nasze wyjątkowo krytyczne położenie i przyjść nam z pomocą, nie odmawiając dalszego poparcia, na które pod każdym względem, mimo piętrzące się coraz bardziej trudności, staramy się zasłużyć.

Bandytyzm hula.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki bezpieczeństwa na obszarze byłej Kongresówki pozostawiającej zawsze bardzo wiele do życzenia, dziś przedstawiają się jeszcze gorzej. Za rządów rosyjskich grasowali spokojnie w różnych okolicach nieprzyjaciele cudzej własności, stojący niejednokrotnie w ścisłym związku z władzami policyjnemi, ciągnącemi z tej spółki pokaźne korzyści materyalne dla siebie. Następstwa wojny przyczyniły się znacznie do wzmożenia ruchu bandyckiego, którego nie są w stanie zgnieść nasze władze bezpieczeństwa, zorganizowane wprawdzie bardzo postępowo, ale jak każda do życia nowo powołana instytucya, nie skonsolidowane jeszcze należycie i nie mogące skutkiem tego rozwinąć energiczniejszej działalności. Uzuchwala to zbrodniarzy, ponadto ułatwia im ich karygodny proceder terror, jaki sieją wokoło, wobec czego ludność znosi w milczeniu swój ciężki los, nie oddając się pod opiekę władz z obawy przed ich zemstą.

W niektórych okolicach doszło do tego, że bandyci grasują w biały dzień na drogach i to najbardziej nawet uczęszczanych i urządzają zuchwałe napady na dwory i osady, gdzie spodziewają się znaleźć obfity łup dla siebie. Ludność tych okolic żyje pod grozą ich napadów, naprawdę niepewna dnia ani godziny. Zwłaszcza w Lubelskiem stosunki pod tym względem są bardzo opłakane, niema dnia, aby nie doszły wiadomości o jakimś napadzie, dokonanym z bezczelną zuchwałością. Prócz pomniejszych grasują tam dwie należycie zorganizowane bandy, jedna



Następca Witosa: Prof. Antoni Ponikowski, rektor Politechniki warszawskiej, prezes nowego gabinetu.

pod wodzą włościan braci Łewardowskich, druga pozostająca pod rozkazami byłego porucznika Esmonda. Działalność ich po żniwach, gdy chłopskie skrzynie napełniły się gotówką za sprzedane ziemiopłody, wzmogła się znacznie, wszelkie usiłowania policyi, aby członków ich dostać w swe ręce, pozostają na razie bez skutku. Spadają nagle, zabierają milionowe łupy i giną niewiadomo gdzie i kiedy. Wielu z pomiędzy włościan nie wie nawet, ile nagromadzonej gotówki padło ofiarą bandytów, umiejąc tylko tyle powiedzieć, że banknotów tysiąc markowych, zwanych przez nich „papierkami“, zabrano im tyle a tyle kop, o drobniejszą monetę, jako nie przedstawiającą w ich oczach większej wartości, nikt się nie troszczy.

Surowe kary, jakie spadają na bandytów, którzy dostali się w ręce sprawiedliwości, nie odstraszają ich kolegów i wspólników, których niecnej robocie mogłoby położyć kres jedynie współdziałanie ludności z władzami bezpieczeństwa.

Następca Witosa.

Przesilenie gabinetowe, które wzięło swój początek podczas obrad Komisyi budżetowej, a na które zanosiło się już oddawna, zostało częściowo szczęśliwie załatwione. Acz z niechęcią, widział się prezydent Witos zniewolonym do wniesienia swej dymisyi, która została przyjętą.

Sprawa następstwa po nim nastręczyła wiele bardzo trudności, wszelkie kombinacye, jakie się z tego powodu wyłoniły, upadały jedna po drugiej, spotykając się z opozycyą tego lub owego stronnictwa. Ostatecznie stanęło na tem, że powołany zostanie do życia pozasejmowy gabinet fachowy, który ma być tylko przejściowym. Niemniej kłopotu sprawiło oddanie w czyjeś ręce misyi jego utworzenia, żaden bowiem z wybitniejszych polityków nie mógł się zdecydować na to, aby się podjąć naprawienia złego, wyrządzonego przez poprzedników i utorowania drogi dla następców.

Trudny ten i odpowiedzialny obowiązek złożono w rezultacie w ręce obecnego rektora Politechniki warszawskiej, prof. Antoniego Ponikowskiego, który z prawdziwie obywatelską gotowością podjął się tego niewdzięcznego zadania.

Dotychczasowa działalność naukowa i społeczna prof. Ponikowskiego daje gwarancyę, że wybór nowego premiera był trafny. Na polu naukowem, jako profesor Politechniki i kilku innych zakładów naukowych dał się poznać jako człowiek głębokiej wiedzy, sumienny i pracowity, zajmujący się żywo sprawami natury technicznej, zwłaszcza o ile one stoją w związku z rolnictwem. Po wybuchu wojny był sekretarzem komitetu obywatelskiego m. stoł. Warszawy.

Z przekonań niepodległościowiec, należał do roku 1909. do stronnictwa demokracyi narodowej, zaś potem przeszedł do Ligi Państwowości Polskiej, której członkiem był do lat ostatnich.

W zakresie działalności państwowej dał się poznać, jako minister oświaty za czasów Rady Regen-



Lekarze francuscy w Krakowie: Uczestnicy wycieczki podczas zwiedzania Biblioteki Jagiellońskiej.

cyjnej, które to stanowisko objął po p. Mikułowskim-Pomorskim, jako dyrektorze departamentu oświaty Tymczasowej Rady Stanu. Dobry organizator, postawił ministerstwo na mocnych podwalinach, troszcząc się o szeroki rozwój nauki w Polsce. Tekę ministra oświaty piastował w gabinetach pp. Kucharzewskiego, Steczkowskiego, znowu Kucharzewskiego, Swieżyńskiego (w charakterze ministra fachowego), to jest od 8 grudnia 1917 do 5 listopada 1918 r.

Wedle ostatnich wiadomości, nadeszłych z Warszawy, skład nowego gabinetu przedstawia się mniejwięcej w następujący sposób: prezydyum, teka oświaty i kierownictwo ministerstwa Kultury i Sztuki — prof. Ponikowski, kierownictwo tymczasowe ministerstwa spraw wewnętrznych, aż do ewentualnego powołania dra Juliusza Twardowskiego — proponowane wiceministrowi Kuczyńskiemu, obejmuje sprawy zagraniczne St. Downarowicz — Skirmunt, skarb — wiceminister Markowski, sprawy wojskowe — jen. Sosnkowski, sprawiedliwość — Sobolewski, rolnictwo — Raczyński, handel i przemysł — wiceminister Strassburger, poczty i telegraf — dr. Stesłowicz, koleje — B. Sikorski, roboty publiczne — Narutowicz, praca — Darowski, zdrowie — dr. Chodźko, aprowizacya — Wyczółkowski, b. dzielnica pruska — Trzciński. Kierownikowi ministerstwa skarbu ma być dodaną, aż do czasu definitywnego obsadzenia tego stanowiska przez fachową siłę, przyboczna Rada Skarbowa, złożona z dwunastu osób.

Lekarze francuscy w Krakowie.

Po zjeździe lekarzy francuskich i polskich, który się odbył w Warszawie, część gości francuskich zawitała w poniedziałek (9 bm.) do Krakowa, aby zapoznać się z naszem miastem, a następnie zwiedzić Wieliczkę i Zakopane.

Miłych gości powitano bardzo serdecznie w murach podwawelskiego grodu, czem zajął się komitet, złożony z tutejszych przedstawicieli świata lekarskiego.

W pierwszym dniu pobytu zwiedzili Francuzi, przybyli w liczbie przeszło stu osób, wśród których znajdowały się najwybitniejsze powagi tamtejszego świata lekarskiego, osobliwości miasta. Zabytki naszej przeszłości wywarły na nich głębokie wrażenie, serdecznie też dziękowali rotm. br. Pusłowskiemu, który przyjął na siebie obowiązki *cicerona*. Popołudniu odbyło się w sali Tow. Lekarskiego posiedzenie naukowe, na którem wygłoszono szereg referatów, wieczorem zaś w tejże samej sali raut przy bardzo licznym udziale obywatelstwa krakowskiego ze wszystkich sfer, przedewszystkiem zaś naszego świata lekarskiego, witającego gorąco swych francuskich kolegów.

We wtorek przed południem zwiedzili goście nasze zakłady i urządzenia sanitarne, które spotkały się z wyrazami ich uznania, poczem osobnym pociągiem odjechali do Wieliczki celem zwiedzenia tamtejszych kopalń.

Po powrocie z Wieliczki, która wywarła na Francuzach niezapomniane wrażenie, odwiedzili oni miejski Teatr im. Słowackiego, gdzie byli przedmiotem gorących owacyi, tak ze strony dyrekcyi jak i licznie zebranej publiczności. Zakończeniem tego dnia był bankiet, wydany przez reprezentacyę miasta w sali Tow. Strzeleckiego. Wzięło w nim udział około dwustu osób, reprezentowane były wszystkie stany. Z licznych przemówień, jakie przy tej sposobności wygłoszono, bił serdeczny ton, świadczący o prawdziwej sympatyi, wiążącej oba bratnie narody.

We środę rano odjechali goście do Zakopanego.



Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: Jeden z najdzielniejszych powstańców, Leksy, na łożu szpitalnem, po amputacyi obu nóg.



Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: 1) Komendant 14 pułku p. Michalski. 2) Szef sztabu grupy poł. por. Brunhorst. 3) Kapelan ks Swierczak, Misyonarz.

Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej.

Po bohaterskim Lwowie, Wilnie, Warszawie i Poznaniu, przyszła kolej i na ziemię Piastów — Śląsk ukochany. Już we wszystkich kopalniach w gankach i korytarzach widnieją wydłubane ręką polskiego górnika Orły Białe gotowe do lotu. Już rolnik górnośląski, siejąc zboże, choć zcicha, nuci „Boże coś Polskę“, a dziatwa, spiesząc do szkół, szepcze do siebie: „My polski ród piastowy“.

Widząc to wszystko odwieczny wróg Piasta, knuje wielką zbrodnię, chce zniszczyć wroge mu plemię, zniszczyć za wszelką cenę. W tym celu za pośrednictwem kapitalistów niemieckich wykupują z rąk chłopa polskiego ziemicę piastową, a górnika zmuszają do opuszczenia kopalni, pozostawiając go bez



Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: Dowódca 14. pułku piech. w gronie komendantów poszczególnych oddziałów pułku.




Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej 1) Sztab 14. pułku piech. 2) Sztab 3 bat. 14. pułku piech.

pracy, by wraz z dziećmi umarł z głodu. I dlatego tak cierpieli Polacy pod jarzmem pruskiem, gniotącem już 600 lat pierś polską, a z rubinowej naszej krwi budowali olbrzymie zamki, tonące w złocie i przepychu. Wszystko to Piast znosił cierpliwie, lecz rozpaczy przyszedł koniec. Oto 1 maja b. r., gdy ogół



Kompromitacya sowieckich dyplomatów: W cukierni Semadeniego w Warszawie, oczekuje Masłowski na wysłannika Karachana z pieniędzmi. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

ludu polskiego na Śląsku dowiedział się, że Koalicya przyznała Polsce tylko powiaty Rybnicki i Pszczyński, zawrzało jak w ulu, robotnicy, zacisnąwszy spracowane i zgrubiałe od młota ręce, powtarzali: „nie wytrzymamy — czyż te **pierony** długo nas męczyć będą", a rolnik rzucił pług i kosę i poszedł do hut i kopalń, by z bratem górnikiem naradzić się, gdzie szukać sprawiedliwości, skąd czekać wyswobodzenia. „Wolej śmierć, umrzeć, a do starego nie wrócić, trza liczyć na siebie i na własne siły", był ostateczny wynik u wszystkich zgrębionych. „Trza chwycić za broń" — krzyczała młodzież. — „A skąd ją wziąć" — pytały kobiety. — „Od Niemców" — odpowiedzieli starsi. — „Tak, od Niemców" — powtarzali młodzi.

I poszła robota tych zuchów — kto za marne pieniądze kupował karabin maszynowy od żołnierzy niemieckich, kto je kradł z magazynów i składów broni, kto wyciągnął z kryjówki swój karabin, przyniesiony z wojenki światowej, kto przygotował sobie młot, a gdy padło hasło: „Bracia, do broni, bracia, dziś, albo nigdy" — jak jeden mąż i górnik i rolnik i mieszczuch chwycili za broń i jednym zamachem rozbroili samochody niemieckie po wsiach i całą siłą rzucili się na miasta, gdzie stały regularne wojska niemieckie. Zawrzał bój krwawy na śmierć lub życie, tak pod Włodzisławiem p. Michalski, późniejszy dowódca pułku 14 G. W. P. obejmuje komendę nad garstką „Radliniaków" (górnicy ze wsi Radlin) i rzuca się na 500 doskonale uzbrojonych kawalerzystów. Radliniacy z otwartemi piersiami, z „Boże coś Polskę" na ustach, jak lwy na okutych w stal, stojących w zwartym szeregu Niemców, rzekłbyś, zwycięstwo po stronie nieprzyjaciół dobrze uzbrojonych, kierowanych ręką fachową, lecz nie, zwyciężają Radliniacy, bo szli za świętą sprawę. Dużo ich wprawdzie legło na ulicach Włodzisławia, lecz pozostali przy życiu zmusili opornych do opuszczenia miasta. Sam Michalski, ranny trzykrotnie w pierś, pada zemdlony i leży jak nieżywy na bruku, aż do rana dnia następnego, to jest, gdy bój ustał; towarzysze broni odnoszą go do szpitala, gdzie przychodzi do zdrowia i znowu chwyta za broń.

Po Włodzisławiu poszła brać górnośląska naprzód aż do Olzy, gdzie z rozkazu Korfantego stanęła, by własnem ciałem i krwią wytknąć słuszne granice polskie.

Jaka radość, jakie wesele kiełkowało w duszach Polaków po tem zwycięstwie. Już Orzeł Biały wyfrunął z ganków kopalnianych na bramy kopalń, już dziatwa z pieśnią „Boże coś Polskę" idzie do szkół, a górnik stary, gdy go pytam: „No i cóż, dobrze jest teraz?" — odpowiada: „Jo panie mom siedmioro dzieciaków i żonę, ale jeżeli te **pierony** przydom tu jeszcze, to moją brzytwą zarznę żonę, dzieciaki i siebie, niech te **pierony** panują tu na cielskach naszych".

Prawdę mówił — wszak do powstania zgłosiło się trzy czwarte ludności górnośląskiej. Zapomnieli o wszystkiem, mając na myśli tylko wolność, a gdy twardo stanęli na Odrze, śmiało patrząc na tamtą stronę rzeki, gdzie Niemiec gotował się do odwetu, mówili: „Choćby przyszli tu z samym Berlinem, nie damy rzeki".

Tymczasem starsi gorączkowo z tłumu powstańców formują regularne pułki, z pułków grupy itd.

W mgnieniu oka powstają trzy grupy: północna, środkowa i południowa, nie licząc sił pomocniczych. Każda grupa miała po trzy pułki piechoty, artyleryę, dywizyon kawaleryi i siły techniczne.

Tak grupa południowa pod dowództwem pułkownika Tietrzewa i szefa sztabu porucznika Brunhorsta miała pułk włodzisławski, czyli 14, rybnicki 13 i grupa kapitana X oraz dywizyon artyleryi pod dowództwem por. D., oraz służbę pomocniczą,




Ze wspomnień górnośląskiej grupy południowej; 1) Dowódca Grupy połud. pułk. Tietrzew w gronie oficerów. 2) Sztab 2 bat. 14. pułku piech.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

59 I.

— Ah! — szepnął detektyw, uśmiechając się zagadkowo.

— To, czego Robert uczynić nie mógł, nie wiem, dla jakiej przyczyny ja uczynię. Przysięgam to panu.

— Niech pan najsamprzód przeczyta spowiedź Markusa Hennera — wyrzekł przekonywującym głosem Dick Leslie.

— Kto wie, co za kłamstwa ohydne, zdrady i zbrodnie zawierają te papiery.

— Pan je jeszcze nie czytał.

— Przeczytam... przeczytam... Zależy więc panu bardzo na tem, abym poznał tajemnice tego nikczemnego człowieka?

— Dziwię się tylko, że te tajemnice nie interesują pana żywiej.

Mówiąc to detektyw objął Ranieriego tak wymownem spojrzeniem, że tenże machinalnym ruchem wyciągnął rękę po manuskrypt, leżący na biurku.

— Gdzież to go znaleziono? Aha! pan mi mówił już o tem — wyrzekł roztargnionym głosem, tak, jak gdyby nie wiedział sam, czego żąda.

— Tak, mówiłem już. Na grobie Maryi.

— Kto to znalazł?

— Dozorca cmentarza.

— I on oddał te papiery Robertowi?

— Tak, tak. Zatrzymał je u siebie i kiedy Robert poszedł na cmentarz, tak, jak to czynił codziennie, oddał mu je.

— A ten dozorca nie wiedział, kto je tam złożył?

— Nie.

— Kiedy to było?

— W nocy prawdopodobnie. Manuskrypt był wilgotny od rosy porannej, pomimo, że zamknięty był w pergaminowej kopercie.

— Jakie to wszystko dziwne!

— Markus Henner musiał nocą przybyć do Coves, tak jak w tę fatalną noc zbrodni. Cmentarz znajduje się niedaleko morza. Musiał przeskorzyć przez mur cmentarza, który nie jest zbyt wysoki i złożyć papiery na grobie.

— Nocą?

— Oczywiście. Nie potrzebował się lękać niczego.

— Czy sądzi pan, że teraz on obawia się kogokolwiek? — zapytał Ranieri, który nie rozumiał dobrze ostatnich słów detektywa.

— Kto wie? — odpowiedział Dick Leslie.

— Czy Robert czytał ten list?

— Tak.

— Dlaczego?

— Ależ na Boga! — zawołał zniecierpliwiony już do ostateczności detektyw. Niechże pan pan już raz weźmie się do przeczytania tych papierów!

— Ma pan słuszność! — szepnął powoli Ranieri. — Czuję się jednak bardzo osłabionym w tej chwili i nie chciałbym doznać świeżego wzruszenia.

— Dozna je pan!

— Zna więc pan treść tej spowiedzi?

— Tak!

— Musi być straszna!

— Zgaduje pan dobrze.

— Niechże mi więc pan powie w krótkich słowach, o co chodzi.

— Nie, panie hrabio.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam polecenie prosić pana o przeczytanie tych papierów. Nie polecono mi jednak opowiedzieć panu ich treści.

— Polecenie Roberta?

— Oczywiście.

— Dobrze, przeczytam — odpart spokojnie Ranieri, starając się zapanować nad sobą.

— Najwyższy czas! — mruknął Dick, zapalając swoją fajkę.

Manuskrypt Markusa Hennera, zawierający tajemnicę jego życia, zamknięty był w dużej kopercie ceratowej i zapieczętowany pieczęcią z czarnego laku, na której widniał herb Roberta Alimeny. Manuskrypt składał się z kilku ćwiartek angielskiego papieru, dużego formatu i był pokryty pismem wyraźnem i zbitem. Pisanym zaś był atramentem czerwonym.

Nie był to właściwie list, bo papiery nie były zaadresowane do nikogo.

Na pierwszej stronie widniały słowa, pisane prawdopodobnie w języku starożytnym, chaldejskim lub syryjskim.

Po tym napisie rozpoczynała się spowiedź Markusa Hennera.

„Popełniłem zbrodnię okropną. Zamordowałem biedną, słabą kobietę, bezbronną i nieszczęśliwą. Ja sam jeden dokonałem tego. Zbrodnia moja popełniona została w sposób tak straszny, że na samo wspomnienie pot zimny występuje na czoło moje.

Nie jest to pierwsza moja zbrodnia — ale zapewne największa i najpodlejsza i pomimo wiary w potęgę Boga Izraela, któremu zawsze wiernie służyłem, nie mogę mieć nadziei, abym otrzymał kiedy jego przebaczenie.

Dni temu piętnaście, zamordowałem Maryę Kabib i odtąd sen uleciał z moich powiek. Nie mogę patrzeć na zmierzch zapadający, bo dreszcz jakiejść strasznej trwogi i niepokoju ogarnia mnie wówczas. Tak jak Makbeth zabiłem w sobie sen, zabijając Maryę — widzę ciągle przy sobie, wokoło mnie, gdziekolwiek się zwrócę, rozstrzaskaną głowę Maryi, jej długie, czarne włosy, skąpane krwią, spływającą na białą jej suknię. Widzę, jak przed oczami mojemi, giestem groźby wstrząsa skrwawionem ramieniem tak, jak w ten dzień szaleństwa i grozy, w którym pogrążyłem ją w śnie hypnotycznym, by nasycić na tej, którą kochałem bez pamięci, wściekłość moją i zemstę — odcinając z obliczonem okrucieństwem jej rękę białą, tak piękną, jak arcydzieło największego artysty na świecie.

Jakże teraz żyć będę dalej, z tem widmem nocnem, które ściga mnie gorącemi, zrozpaczonemi oczami, pokazując ramię skrwawione i jedyną rękę swoją wznosi nad moją głową strasznym ruchem przekleństwa? Jakże żyć będę dalej, z tą marą, dręczącą mnie w sposób jeszcze okrutniejszy, niż dręczyła mnie Marya za życia swojego, plując mi w twarz nienawiść swoją i pogardę!?

Jakże żyć będę dalej po zamordowaniu Maryi, tej jedynej istoty, która była królową moją i bóstwem!? Postanowiłem więc umrzeć. Gdybym się nie zabił, wtedy to doprowadziłoby mnie napewno do szaleństwa. Ale Markus Henner, wielki uczony, człowiek, który wykradł Stwórcy tajemnicę ujarzmienia woli ludzkiej, Markus Henner, najsławniejszy z dzieci Izraela po Mojżeszu, nie może zginąć jak pospolity człowiek, w domu dla obłąkanych. Czyż to możliwe, aby mnie, pełnemu dumy i ambicyi, nędzny dozorca więzienny nakładał siłą kaftan bezpieczeństwa, lub ziewał natryskami zimnej wody!?

Lepiej umrzeć odrazu, dobrowolnie, oddając życie tej, którą zabiłem — oddając jej to życie wzamian zbrodni dokonanej na niej.

Zabiję się po ukończeniu tej spowiedzi. Wiedząc, że w życiu są dnie radości i bólu, które mogą wartość najnędzniejszego życia wzbogacić — pogardzałem zawsze samobójstwem. Ten, który wyzbywa się życia przed fatalnym terminem, naznaczonym przez Stwórcę, był zawsze dla mnie głupcem i tchórzem. Ale teraz zmieniłem przekonanie. Oddawna uśmiech znikł z mojego życia, albo też może nigdy nie zjawił się w niem, bo czyż można nazwać uśmiechem ten dumny grymas człowieka, mającego odwagę wznieść się aż na szczyty! Nie śmiałem się nigdy i nigdy nie okryłem się śmiesznością! Nie będąc głupcem, jestem może człowiekiem podłym. Czy tak jest, nie wiem. Straszne wrażenie, które ogarnia mnie z chwilą zapadnięcia ciemności na ziemię i wówczas, kiedy widmo Maryi zjawia się przedemną, nie opuszcza mnie, aż pierwsze przebłyski jutrzenki zabłysną na niebie. Czyżby ta halucynacya, rozpalając moje zmysły, była lękiem? Nie wiem tego również.

Wiem tylko, że potrafiłem się oprzeć najboleśniejszym przejściom życia, że krajałem trupy, rozciągnięte na stołach marmurowych w salach klinicznych — wiem, że bez drżenia słuchałem jęków ofiar, które zginąć musiały, aby wiedzy oddać swoją żywotną tajemnicę, wiem, że byłem zawsze pełny odwagi i zuchwałości w obliczu największych niebezpieczeństw... Ale niestety... cienie silniejsze są niż rzeczywistość i być może, że lękam się widma i z przyczyny widma tego umrzeć pragnę.

Kiedy manuskrypt ten, który złożę w noc zimową na grobie Maryi Kabib, w noc podobną do tej, która była świadkiem najpodlejszego mojego czynu — kiedy manuskrypt ten dostanie się w ręce ostatnich moich wrogów, hrabiego Ranieri Lambertini'ego i hrabiego Roberta Alimeny — dusza Markusa Hennera stanie już przed Sędzią najwyższym, dobrowolnie, jako ofiara za zbrodnię dokonaną na Maryi. Piszę te słowa nie dlatego, żeby się chcieć uniewinnić, bo jeden jest tylko Sędzia nademną — Bóg Izraela — lecz dlatego, iż chcę, aby wiedziano, jaką jest moja tajemnica i przyczyna mojej śmierci.

Powinienem może zniknąć, jak trochę dymu w powietrzu, nie pozostawiając nic po sobie, ani śladu, ale czuję jakieś dzikie, wewnętrzne pragnienie rozkrwawienia własnej rany. Od dziś dnia ludzie, którzy mi zabrali dwie najcenniejsze rzeczy — serce Maryi i serce Racheli — nie mogą już nic uczynić przeciwko mnie.

Oddając się śmierci, chronię się przed ich zemstą i ginę w dojrzałości lat zaledwie, w pełni zdolności i talentu, w chwili, w której moja wiedza dochodziła do szczytu doskonałości, a wraz z nią majątek mój wzrastał i sława. Ludzie, noszący w sobie ideał, żyć powinni w strzemięźliwości, nie zaznawszy rozkoszy i bólu miłości.

Wraz ze mną ginie ze świata jedna z największych sił i energii, mogących odkryć prawdy nowe, nikomu nieznane, mających zdolność tworzenia i urabiania czynów życia ludzkiego — energia najpodlejsza i najzuchwalsza zarazem.

Wraz ze mną ginie potęga, która się już więcej nie ujawni na świecie. Wraz ze mną ginie epoka, na której wznieść się mogły najprzepyszniejsze gmachy myśli i wiedzy — ginie człowiek, posiadający władzę ujarzmienia ludzi drugich.

I stanie się to dlatego, że pewnego dnia para oczu smutnych i wymownych spoczęła na mnie i że ja te oczy napróżno błagałem choćby o jedno spojrzenie miłości; dlatego, że jednego dnia ujrzałem piękne, koralowe usta i że zapragnąłem z ust tych usłyszeć słowa miłości, poznać ich uśmiech i pocałunki, co mi nigdy przyznanem nie zostało. Zdradziłem Wiedzę dla kobiety i kobieta stała się przyczyną mojej zguby.

Zabiłem Maryę, istotę niewinną, tę istotę uwielbianą przezemnie; zgubiłem Rachelę, córkę Maryi, która równie piękna, jak jej matka, tak, jak i ona, odrzuciła moją miłość. A teraz, ponieważ nie pozostaje mi nic po tych dwóch kobietach, ponieważ już nigdy kochanym nie będę przez kobietę — ginę z własnej woli.

Inną, zupełnie inną była misya moja na tej ziemi. Byłem powołany na rzeczy wielkie i wzniosłe. Mogłem narodowi Izraela powrócić jego królewskość, mogłem wskrzesić go i odbudować go zupełnie. I mogłem potężny i bogaty stanąć na czele tego narodu. Ale oto co się stało! Człowiek zapragnął miłości, a król z tej przyczyny utracił koronę.

Koronę i życie. Ja umrzeć muszę. Bez Maryi i Racheli czemże jestem na tej ziemi? Jestem garbaty, brzydki i wstrętny. Wzniecam lęk w mężczyznach, a w kobietach odrazę. Nieszczęśliwa Klara, która została moją żoną, bo biedną była i opuszczoną, znikła bez śladu wraz ze swoim synem. Wiem, że oboje umarli rozłączeni i bardzo nieszczęśliwi.

Kiedykolwiek zapragnąłem kobiety, mogłem ją tylko posiadać pogrążoną w śnie hypnotycznym. To było coś strasznego i ohydnego! Te nieszczęśliwe istoty po przebudzeniu patrzały za mnie z odrazą i lękiem. Ilekroć zaś otwarcie starałem się o względy kobiety, spotykała mnie pogarda i drwiny.

Jednakże zapadały w sen za moim rozkazem i leżały w moim gabinecie, gdzie były same ze mną, gdzie żadna inna wola prócz mojej działać na nie nie mogła, gdzie nikt odebrać mi ich nie mógł; i wtedy oszalały z wściekłości, z sercem zdruzgotanem rozpaczą, „rozkazywałem" której z nich, tej, która w tym dniu hypnotycznym znalazła się na mojej drodze, rozkazywałem, by mnie kochała i kiedy suggestya hypnotyczna oddawała mi w ręce tę kobietę bezwolną i bezwładną, posiadałem ją płacząc z gniewu, przeklinając los mój i życie.

Oh! tak, ja umrę, ja umrę, bo życie moje zakończyło się wraz ze śmiercią Maryi.

Historya mojego życia, to historya wielkiej dumy i potęgi, ale zarazem i wielkiej boleści.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

5)

W tej chwili podniósł się od kasy nieduży, pękaty człowieczek, połyskujący złotą oprawą binokli i wspaniałym brylantem w krawacie, który pilnie obserwował Stefę i przysłuchiwał się całej jej rozmowie z ekspedyentem.

— Panie Władysławie, proszę załatwić pana — wskazał wchodzącego do sklepu klienta — panią ja sam obsłużę.

— Pan Władysław spojrzał zdziwiony, ale bez protestu spełnił polecenie szefa, a pan Antoni Bąbel zwrócił się ku Stefce. Jego małe, niebieskie, wypukłe oczy świdrowały z poza szkieł twarz dziewczyny.

— Pani życzyła sobie kupić ten oto flakon. Wybór znakomity, to firma pierwszorzędna, zapach prześliczny... w sam raz dla pięknych pań — dodał ciszej nieco i trochę lękliwie.

Stefa przyjęła komplement uśmiechem i lekko przymrużywszy oczy, spojrzała na właściciela sklepu.

— Cóż, kiedy drogie — westchnęła.

— O! u nas są ceny wprawdzie stałe, ostatecznie... w tym wypadku mógłbym odstąpić trochę taniej... nawet dużo taniej.

— A zatem?

Cena podana była śmiesznie niska w stosunku do istotnej.

Jednak na twarzy Stefy nie odmalował się nawet cień zdziwienia. Kazała zapakować perfumy tonem tak pewnym i spokojnym, jakby to nagłe dziesięciokrotne obniżenie ceny było czemś zgoła naturalnem, samo przez się zrozumiałem, tylko jej kocie źrenice błyszczały mocniej i zerkały na pękatego pana Bąbla dyskretnie, ale natarczywie.

— Szanowna pani może obejrzy przybory do manicure, mamy rzeczy pierwszorzędne a nie drogie.

— To już chyba innym razem.

— Prosimy bardzo o odwiedzenie nas znowu... postaramy się zadowolnić panią dobrodziejkę — w lekko drżącym głosie, nerwowych ruchach i rozbieganem spojrzeniu Antoniego Bąbla przebijało zainteresowanie, przewyższające stanowczo zwykłą uprzejmość kupiecką.

Stefa zapłaciła i wyszła, ale od drzwi jeszcze raz obrzuciła pana Bąbla snopem zielonych iskier, tryskających z jej źrenic. W progu zetknęła się z kobietą, która niezgrabnie a skwapliwie usunęła się jej z drogi.

— Masz Antoś, przynoszę ci drugie śniadanie, doskonały placek ze serem upiekłam i bułeczki też świeżutkie...

Bąbel skrzywił się z niezadowoleniem, a spojrzenie jego ciągle jeszcze biegło w kierunku, gdzie zniknęła Stefka.

— Także pomysł — syknął — przynosisz mi do sklepu placek, jak jakiemu fiakrowi, albo czeladnikowi murarskiemu... Ty się chyba nigdy nie nauczysz eleganckich form!...

Chuda, żółtawa twarz kobiety spłonęła rumieńcem przykrości, w łagodnych, wypłowiałych oczach zakręciły się łzy.

— Przepraszam cię Antoś — szepnęła pokornie — ale myślałam, żeś ty może głodny.

— No dobrze, dobrze, idź już, idź, bo tylko przeszkadzasz — nie oglądając się już więcej na żonę Bąbel, zasiadł znowu przy kasie.

— Do sklepu weszło kilka osób, które obsłużono szybko i zwinnie. Dwaj ekspedyenci i młodziutka, dopomagająca im panienka krzątali się żwawo, czując na sobie bystry, dozorujący wzrok szefa.

Bąblowej, pomimo wyraźnego, życzenia męża odchodzić się stąd jakoś nie chciało. Usunąwszy się pod ścianę, aby nie przeszkadzać nikomu, wodziła dokoła oczyma rozrzewnionemi, pełnemi podziwu i naiwnej dumy. Oszklone gablotki, wytworne kasetki i flakony, setki pudełek, pudełeczek, dubek, wszystko to zdawało się imponować jej bardzo i cieszyć nadzwyczajnie.

W progu ukazał się nowy gość, którego zlekka wyszarzone palto, fantazyjnie wygięty kapelusz, chude policzki, bardzo żywe oczy, bujna, nieporządnie uczesana czupryna i nieduża kłaczkowata bródka składały się na całość wielce charakterystyczną i w swoim rodzaju stylową. Nowy przybysz nie wyglądał wcale na to, jakoby mógł dużo korzyści przysporzyć firmie, a jednak Bąbel na jego widok zerwał się i pobiegł na spotkanie z wyciągniętą serdecznie dłonią.

— Witam kochanego redaktora, witam! czem mogę służyć?

— Mydełko do golenia, ale to głupstwo!... ja właściwie nie po to przyszedłem. Mam do pana inny, o wiele ważniejszy interes.

— Ależ słucham, słucham...

— Hm... to się nie da tak szybko powiedzieć!... trzeba na to trochę czasu i odpowiedniego nastroju. Rozumie pan?

— Naturalnie, że rozumiem drogi redaktorze... powtórzył Bąbel z widocznem upodobaniem ostatnie słowo.

— Ale nastrój, jak panu wiadomo przychodzi najłatwiej w odpowiedniej atmosferze, więc możebyśmy tak...

— Oczywiście, oczywiście! Redaktor pozwoli, że zjemy dzisiaj razem obiad w Saskim hotelu.

— Zgoda.

— Antoś — jęknęła nagle milcząca dotąd Bąblowa — znowu na obiad nie przyjdziesz?!...

Mąż drgnął, iskry rozdrażnienia gniewnego zamigotały w jego małych oczkach. Nerwowo poprawił szkła na nosie.

— To ty jeszcze tutaj? — rzucił szorsko — dlaczego nie idziesz do domu do dzieci?

— Proszę przedstawić mnie pani dobrodziejce — wtrącił pospiesznie jegomość tytułowany redaktorem.

— A tak... pan pozwoli moja żona, pan redaktor Olczak.

Bąblowa niezręcznie podała rękę i ukłoniła się panu redaktorowi nazbyt nisko.

— Idźże już raz domu — szepnął jej mąż.

— A kiedy ty przyjdziesz, Antoś?

— No przyjdę, przyjdę!...

— A zostawić ci knedli ze śliwkami na kolacyę?

— A dajże mi święty spokój z knedlami i zabieraj się już — mówił cicho ale z wielką irytacyę.

— Idę już idę. Pamiętaj Antoś nie zapóźnij się tam bardzo...

— Całuję rączki panu redaktorowi.

Bąbel aż zadygotał cały, tak, że szkła spadło mu z nosa.

Olczak ukłonił się z rozmachliwą galanteryą, w której było coś drwiącego.

— Moje najniższe uszanowanie pani dobrodziejce — a gdy Bąblowa znikła już za drzwiami rzekł:

— Pańska żona musi być bardzo dobrą kobietą.

— Dobra, dobra — mruknął — ale co tam po samej dobroci panie tego... Wie pan, panie redaktorze, ja tu przed kilkunastu minutami widziałem kobietę, powiadam panu ślinka idzie! Co za buzia, figurka, nóżka, a jak się patrzy, jak uśmiechał Taka kobieta, panie, to działa w człowieku na **instynkta!**

* * *

Roman Królecki wrócił do domu w usposobieniu nieszczególnem. Ogarnęła go jakaś niewytłómaczona melancholia, nieokreślona tęsknota, dokuczało mu zimno i zmęczenie wewnętrzne. Wyszedł wcześniej niż zwykle z kawiarni, choć go nic właściwie nie ciągnęło do samotnego pokoju umeblowanego cudzymi, obojętnymi sprzętami. Znużyła go dziwnie kawiarnia, jej gwar, hałas bezmyślny i dym zatruwający powietrze, znudził szczebiot złotowłosej pani Ady, grająca dziś bardzo licho swoją rolę kobiety wyższej, niezrozumianej. Przestały go również bawić obcesowe zaczepki filuternej kelnerki Tosi, która mu z całą otwartością okazywała daleko idące względy. Niesmakowała mu kolacya, uczuł nieprzezwyciężony wstręt do restauracyjnego kotletu i nieświeżego tłuszczu. Postanowił więc położyć się wreszcie, odpocząć, przeczytać jakąś książkę, któraby go w inny od codziennego, powszedniego świat przeniosła.

Może ten, rzadki u „pięknego Romka" spleen, przywiał zimny wiatr listopadowy, może tkanki jego mózgu przesyciła zmęczeniem wilgotna, ciężka mgła, może to z kroplami drobnego siekącego deszczu spadały na serce tęsknoty i smutki. Idąc po lepkiem błocie jesiennem, czując na twarzy uderzenia deszczu ze śniegiem zmieszanego, wdychając duszne, mgliste powietrze marzył jakieś murawy szmaragdowo zielone, słońcem wiosennem wycałowane, srebrzystą rosą sperlone, przetkane białemi gwiazdkami zawilców i modrych sasanek. Gdzieś w cieniu gaju pachną mocno fiołki aksamitne upojne niby oczy rozkochanej dziewczyny. Roman rozdyma nozdża, jak gdyby zamiast specyficznego swędu miejskiego wciągając w nie woń słodką, nad wszystkie inne ulubioną.

— Brrr... — wstrząsnął się nagle i otulił mocniej paltem — co za przeklęty wiatr i mgła!...

Poomacku przesunął się przez wąski korytarzyk, w którym nie świecono się ze względów oszczędnościowych i wszedł do swego pokoju.

Zdawało mu się, że czuje zapach fiołków.

— Jakaś hallucynacya węchowa — pomyślał i przekręcił kontakt elektryczny.

Białe światło lunęło prosto na piękną wazę, naśladującą bronz antyczny, wypełnioną fiołkami.

— Cóż do dyabła! chory jestem czy co? gorączkę mam chyba!...

Podszedł do stołu i dotknął fiołków. Były miękkie i miłe w dotknięciu jak jakaś dobra pieszczotliwa ręka kobieca, a bił od nich zapach delikatny, orzeźwiający.

Roman spoglądał ze zdumieniem. Niemógł już wątpić, że to rzeczywistość, a nie złudzenie, że w tym pokoju w ten słotny dzień listopadowy znalazły się prawdziwe, żywe pachnące fiołki, jakby wyczarowane jego marzeniem o wiośnie. Ale skąd one się tutaj wzięły? Kto je mógł przynieść? fiołki w naszym klimacie w listopadzie! To osobliwość, czary, albo wielkie kobiece kochanie.

Pani Pyszkowska, pani Pyszkowska! niech pani tutaj pozwoli.

A co tam panu się znowu stało? Panie Boże odpuść!... — jęknęła ostrokonciasta, gotycka niewiasta we wdowiej czerni.

— Kto przyniósł te fiołki?

— Ekspres.

— Nie było żadnego biletu? żadnego listu?

— Nic nie było. Ale to z pewnością od której z tych tam pańskich... — Fiołki w listopadzie!... marnotrawstwo o pomstę do nieba wołające!... Panie Boże odpuść.

— Dziękuję pani.

— Aha! co to jeszcze chciałam powiedzieć... była tutaj dwa razy ta panna, blondyna, taka słuszna w sobie, ta co to pan wie, powiedziała, że jeszcze raz przyjdzie. Pan to też ładne życie prowadzi, Panie Boże odpuść!..

— Pani będzie łaskawa nie wtrącać się do moich osobistych spraw — rzekł Królecki sucho.

— A czy ja się wtrącam? O! tylko mówię, że zgorszenie i tyle. Panie Boże zlituj się!

Roman zostawszy znowu sam w pokoju, podszedł do wazy z fiołkami. Pochyliwszy się nad nią, głaskał pieszczotliwie ręką delikatne kwiecie, tak jakby to było jakieś żywe przytulne stworzenie. Nasycał się ich subtelną wonią, która jego rozstrojonym nerwom przynosiła ulgę rozkoszną.

— Kobieta niezawodnie, ale która?... Musi mieć niezwykle rozwiniętą intu cyę i musi prawdziwie kochać. Która?... może pani Ada? ech nie! gdzieżby tej rozskapryszonej gęsi, udającej orlicę, przyszło do głowy coś podobnego. Może ciemnooka studentka Józia? wątpliwe, ta raczej by napisała list na 12 stu stronicach... No, a z pewnością już nie pochodzą te kwiaty od tłustej Toli, ani od córeczki milionowego rzeźnika. Nie, nie! to nie żadna z nich... Któż jest ta tajemnicza, fiołkowa?

Przechodził myślą wszystkie swoje znajomości kobiece, wszystkie flirty i miłostki i nie mógł odgadnąć.

— Ktokolwiek jesteś bądź błogosławiona!...

— Romku, a cóżeś ty taki zamyślony! nic nie widzisz, nic nie słyszysz! Serwus! — zbudził go z zadumy głos Stefy Łączkówny, która niespostrzeżenie weszła do pokoju.

Króleckiemu przeszedł przez twarz grymas niezadowolenia. Nie pragnął w tej chwili wcale widzieć Stefy, a zresztą podrażnił go jej krzykliwy sposób mówienia.

— No i cóż się tak patrzysz jakbyś mnie pierwszy raz widział? Pomóż mi lepiej zdjąć żakiet bom przemokła.

— Potrzebnie też wychodziłaś na taką słotę.

— Grzecznie mnie witasz — wydęła wykarminowane usta z lekką obrazą — zamiast mi podziękować nie wiem jak, to on się jeszcze krzywi! Inny toby z radości wyskoczył ze skóry.

— Ja nie wyskoczę.

— Wiem, ale ja cię i tak lubię, ty świnko morska. Pocałuj że mnie, słyszysz?!...

Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Fatma płynęła za nią. Noc zapadła, a oni przy świetle gwiazd wciąż dążyli na północ.

Nigel teraz spał. Isaacson czuwał nad nim. A w pobliskiej kajucie pewna kobieta przypatrywała się odbiciu swej twarzy w lustrze, wprawionem w pozłacaną szkatułkę... przypatrywała się z rozpaczą w sercu.

Hartley ją podejrzywał, że wie o ruinie swej piękności. Podejrzywał! Zanim ją zauważył, sama ją spostrzegła z zimnem przerażeniem, które wzrastając przeistoczyło się w gorzką rozpacz. A z tą rozpaczą przyszła nienawiść... nienawiść do człowieka, który, zagradzając jej drogę do szczęścia stał się przyczyną tej ruiny. Tym człowiekiem był Nigel. Myślał, że ją ocalił od jej złych skłonności, lecz w rzeczywistości obudził ze snu co było w niej najgorszego. W Londynie była dobrą kobietą w porównaniu z tem, czem była obecnie. Jego niezręczne poszukiwania w jej duszy rozpętały w niej szatana. Pragnęła, żeby się dowiedział, jaką była istotnie. Nieraz, podczas gdy byli sami na Lonlii już, już chciała dać mu poznać przynajmniej część prawdy. Nerwy o mało jej nie zdradziły, kiedy przez długie, pełne słonecznego blasku godziny Lonlia stała na gładkiej jak lustro wodzie, daleko od ludzi, a ona znudzona, prawie oszalała szarością swego życia była zmuszoną udawać miłość dla człowieka, którego dawniejsze siły i piękność zmniejszały się z dnia na dzień.

Czy to się nigdy nie skończy? Każdy dzień wydał się jej wiecznością, każda godzina rokiem. Lecz teraz, mając przed sobą tak mało czasu do użycia, szarpana żądzą i zazdrością, czuła, że panowanie nad sobą ją opuszcza. Dawniej wywierała wpływ z największą łatwością. Teraz musiała się wysilać. I wiedziała ze straszną pewnością kobiety w średnim wieku, że to ciągłe naprężenie ducha musi wkrótce odbić się na stronie fizycznej.

Jej strachem, strachem, który jej nie opuszczał ani w dzień, ani w nocy, było, że jej piękność może zwiędnąć zanim zostanie swobodną i będzie mogła połączyć się z Barondim. Wiedziała teraz jak bardzo go oczarowała, pomimo, że się wydawał niewzruszonym. Przez swe niższe władze, władze, których Nigel nieznał i myślał, że ich nienawidzi... chociaż może i on także bezwiednie im uległ... uchwyciła zmysłową naturę Egipcyanina. Tak jak Starnworth powiedział Isaacsonowi, w Barondim tkwiła namiętność do kobiet. Miał namiętność do Bella Donny. Lecz wiedział, jak czekać na to, czego pragnął, i teraz czekał. Pytanie, które się wciąż nasuwało Mrs. Armine w czasie jej wygnania z Niglem było... — czy nie będzie czekał za długo? Wiedziała, jak szybko mija „Indyjskie lato", powtórna młodość kobiety. I wiedziała dobrze, pomimo, że starała się sobie zaprzeczyć, że jeżeli przyniesie Barondiemu nie Indyjskie lato, lecz więdnącą jesień, spotka się z bladem okrucieństwem, które bywa często latoroślą wschodniego zapatrywania się na kobiety.

W tym ustawicznym strachu podtrzymywała ją jednak nadzieja, aż do chwili, kiedy w sanctuaryum Horusa spotkała się twarzą w twarz z Isaacsonem.

A teraz!

Teraz siedziała samotna w kajucie i wpatrywała się w lustro, które jej dał Barondi w pomarańczowym ogrodzie.

A Isaacson czuwał nad jej mężem.

— „Przeznaczenie każdego człowieka jest przywiązane u jego szyi".

Arabskie złote litery zdawały się przygniatać jej ducha i ciało. Odstawiła szkatułkę i gwałtownie prawie spuściła wieko.

I teraz, kiedy już samej siebie nie widziała, zdawało się jej, że widzi modlącego się Hanzę, tak jak się modlił owego dnia w pomarańczowym ogrodzie. Miała wtedy uczucie, że ręce Wschodu ją pochwyciły i że już nigdy jej nie puszczą i chciała uciekać, a zarazem jedynem jej pragnieniem było... zostać schwyconą przez ręce Barondi'ego.

Modlący się ludzie przestraszyli ją. A przecież nie wierzyła w Boga.

A gdyby Bóg rzeczyście istniał! Gdyby patrzył na nią teraz!

Zerwała się i zgasiła światło.

* * *

Następnego dnia Lonlia zatrzymała się przy ogrodzie willi Androud pod kamienistym cyplem. Nigel był zanadto osłabiony, żeby módz sam przebyć przestrzeń dzielącą rzekę od domu, Nubijczycy więc ostrożnie go zanieśli. Zdziwiona służba, nie uprzedzona o przybyciu swych państwa rzuciła się do otwierania okiennic i okien, ażeby wpuścić do pokoi powietrze i światło. I znowu Ibrahim zaczął przewodzić, gdyż zdawało się, że panowanie Hanzy już się skończyło. Tylko Meyer Isaacson dawał jeść, pić i „pokarm chorych my lord Arminigel". Zmiana życia na dahabijeh na życie na lądzie zdawała się odrazu działać na chorego. Kiedy go ostrożnie położyli w biało-żółtym salonie i zobaczył przez okna wychodzące na taras kwitnące róże w ogrodzie, odetchnął głęboko, jakby z uczuciem ulgi.

— Rad jestem, że się wydostałem z Lonlii, Ruby — rzekł do żony, która stała przy nim.

— Czy tak, a dlaczego Nigel?

— Nie wiem. Przygnębiała mnie. Pamiętasz ten napis?

— Jaki napis?

— Ten nad drzwiami.

— Oh, tak.

— Myślałem o nim w nocy, kiedy się czułem tak źle. To było jak ciężar, który mnie przygniatał.

— Fantastyczne urojenie — rzekła. Lecz rzuciła na niego nawpół przestraszone i podejrzliwe spojrzenie. Nie spostrzegł tego, patrzał na ogród.

Z Nilu dochodziły głosy żeglarzy, śpiewających swoją pieśń. Słuchał jej przez chwilę.

— Jaki dziwny mieliśmy czas, do kiedy po raz pierwszy słuchaliśmy razem tej pieśni, Ruby — rzekł.

— Tak.

— Kiedy pierwszy raz ją słyszeliśmy, byłem taki silny, taki szczęśliwy... silny, żeby się tobą opiekować, szczęśliwy, że mogłem cię otoczyć opieką i... i skończyło się na tem, że ty się mną opiekujesz.

— — Tak — rzekła sucho.

— Ja... myślę, że to dobrze, że nie znamy przyszłości. Życie wymaga dużo odwagi.

Nie odezwała się.

— Lecz teraz zaczynam nabierać odwagi. Nie pamiętam, czy mówiłem ci kiedy, jak mi było na Lonlii. Gdybym był pozostał dłużej tam, gdzieśmy stali, byłbym umarł. Byłbym bardzo prędko umarł.

— Nie, nie, Nigel.

— Owszem tak. Lecz tutaj... poruszył się, wyciągnął ramiona i westchnął... — czuję, że zdrowie zacznie wracać, może nawet powróci. Jak... jakby to było wspaniale, gdybym wyzdrowiał!

— To dobrze, ale muszę pójść i uporządkować rzeczy — rzekła.

— Jesteś zmęczona, prawda?

— Nie. Dlaczego tak myślisz?

— Twój głos wydaje mi się zmęczony.

— To nie to?

— A co?

— Wiesz, dla twego dobra muszę znosić wstrętne towarzystwo — rzekła cichym głosem.

W tej chwili Meyer Isaacson wszedł do pokoju.

— Musimy zabrać naszego pacyenta do łóżka — rzekł swym spokojnym stanowczym głosem.

— Idę zobaczyć, czy wszystko gotowe — rzekła Mrs. Armine śpiesznie odchodząc.

Kiedy wchodziła na schody kropelki krwi były na jej dolnej wardze.

XIX.

Ponieważ Nigel znienawidził Lonlię i już jej więcej nie potrzebowali, prosił żony, żeby zatelegrafowała w jego imieniu do Barondi'ego, oznajmiając, że może ją zabrać. „Ibrahim zna jego adres wiem" — rzekł. Telegram został wysłany i Barondi odpowiedział, że Lonlię zabiera. Tego samego dnia Reis przyszedł do willi żeby otrzymać bacszysz i pożegnać się. Nic nie wspominał o tem dokąd się udadzą, lecz wkrótce po jego odejściu Lonlia przepłynęła po przez Nil została przywiązaną naprzeciwko ogrodu, przy zachodnim brzegu. Wieczorem można było słyszeć żeglarzy „czyniących fantasia".

Mrs. Armine słyszała ich głosy przechadzając się sama po ogrodzie blisko cyplu i widziała błękitne światło na maszcie. Okna kajut były ciemne.

Tak więc skończyła się jej podróż na Południe!

Stała przy ziemnym wale odgradzającym ogród od ciągnącego się za nim pola.

— Nie przypuszczała, że powrócą... we troje.

To był koniec podróży. Lecz jakie będzie zakończenie?

Barondi nie dawał znaku. Nigdy nie napisał do niej ani słowa. Nie ośmieliła się pisać do niego. Nie powiedział jej, żeby pisała, to znaczyło, że tego nie chce. Bała się go i ta bojaźń była częścią jej strasznego upodobania w nim. Ona, która miała tylu niewolników, kiedy była młodą... skończyła na tem, że sama stała się niewolnicą. Siadła obok wału na kamieniu. Noc była bezksiężycowa; lecz noce egipskie są tak jasne, że nawet szczegóły bywają widoczne.

Na prawo od Mrs. Armine brunatny pas ziemi przechodził w piaszczyste wybrzeże, na którego niższej części stała jeszcze woda po niedawnym wylewie. Opodal czerniła się dość rzadki gąszcz krzewów. Jakkolwiek Mrs. Armine nieraz tutaj schodziła, ażeby wsiąść na łódkę, nie przechadzała się nigdy po wybrzeżu. Lecz dzisiaj po pewnym czasie wstała z kamienia i zaczęła się przechadzać nad samą wodą.

Nie widziała ztąd domu z jego oświeconemi oknami mówiącemi jej o życiu, które ją opłakało. Nie mogła nic dojrzeć z wyjątkiem ciemnej wody, ciemnego zarysu cyplu i brzegu na którym zaczynał się ogród, oraz niewyraźnych, poplątanych krzaków. U jej stóp stała cicha, gładka woda, jakby woda jeziora, pomimo, że dalej prąd był silny.

— Co mam czynić? — powtarzała sobie przechadzając się w samotności — Co mam czynić?

Dziwnem było, że nawet w obecnej chwili większym strachem przejmował ją Barondi, który był daleko, niż Isaacson pozostający w pobliżu. Nie wiedziała, co oni obaj uczynią, była pastwą podwójnej niepewności. Przypuszczała, że Isaacson wyleczy jej męża, chyba, że znajdzie sposób, żeby się go pozbyć. A Barondi, co on uczyni? Spojrzała po przez rzekę i zobaczyła błękitne światło. Dlaczego Lonlia się tam zatrzymała? Czy Barondi przyjedzie, żeby się z nią złączyć?

— Ah, gdyby przyjechał! Zaczęła iść prędzej nie wiedząc nawet, że przyspiesza kroku. Gdyby przyjechał, czuła, że nie mogłaby być dłużej posłuszną. Zobaczy go, zmusi, żeby wyszedł z głębokiej tajemnicy Wschodu i dowiedział się, co ona czuje. Jego nieograniczony egoizm zawładnął jej egoizmem. Lecz zaczynała ją ogarniać rozpacz. Myśl o jej zniszczonej piękności wciąż ją prześladowała, pomimo, że ustawicznie starała się ją odganiać. Wmawiała w siebie, że bardzo mało się zmieniła i, że to zmiana tylko czasowa. Wystarczy trochę, tylko trochę tego, czego pragnęła, a z pewnością „Indyjskie lato" powróci.

I znów myślała o Meyerze Isaacsonie tam w domu, z tak straszenie przenikliwemi oczami świadczącemi o niemniej przenikliwym umyśle. Ten człowiek mógł być bez litości, lecz nie dla Nigla. A czy mógłby być bezlitosnym dla niej, nie będąc zarazem bezlitosnym dla Nigla?

Zatrzymała się i patrzyła na wodę.

Gdyby Barondi znajdował się na Lonlii, wzięłaby czółno i popłynęłaby do niego. Powiedziałaby mu, że nie może dłużej znieść tego życia i, że musi być z nim razem. Pozwoliłaby mu czynić z sobą co zechce. Myśląc o dobroci Nigla tęskniła za okrucieństwem Barondi'ego.

Lecz musi być z nim.

Gdyby tylko mogła być z Barondim byle gdzie, byle jak, wyrzuciłaby na zawsze z pamięci to nienawistne życie z Niglem.

Co mam czynić? co mam czynić?

Pytanie to ciągle wracało. Bezużytecznie było puszczać wodze wyobraźni.

Barondi musi przybyć w górę rzeki. Musi przybyć, inaczej Lonlia nie stałaby uwiązana na zachodnim brzegu. Ale może stała tam tylko na noc? może odpłynie jutro?

Mrs. Armine czuła, że gdyby następnego rana Lonlia odpłynęła nie byłaby zdolną pozostać w Luksorze. Wsiądzie do pociągu i pojedzie. Dokąd? Gdziebądź? Do Kairu. Może znaleźć jakiś powód: że potrzebuje zaopatrzyć się w żałobę po Harwich'u, na przykład.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Powiedział podobno swojego czasu bł. pam. Ben Akiba, że wszystko już było na świecie. gdyby jednak żył w obecnych czasach, musiałby przyznać, iż się nieco pomylił. Bo czy słyszał kto kiedy przedtem, o statkach napowietrznych, które spadają do morza lub rzek, lub o łodziach podwodnych wylatujących w powietrze?... Z podobnemi osobliwościami spotkać się można dopiero w obecnych czasach, co jest dowodem, że Ben Akiba, choć uch dził za bardzo mądrego, przecież był w błędzie. Natomiast teoryi, przez niego wygłoszonej nie sprzeciwia się zupełnie, jeśli kronikarz tak poczytnego pisma jakiem są *Nowości Illustrowane*, zamieni pióro na wagę i zacznie się bawić wolnym handlem, nazywającym się po staremu paskiem.

Niedawno otrzymał kronikarz od jednego ze swych znajomych, mieszkającego w Paryżu, list, w którym tenże zachęca go do zajęcia się eksportem jaj z Polski do Francyi, gdzie panuje katastrofalny brak tego artykułu spożywczego dzięki kurom, wzorującym się na rodzaju ludzkim i nie chcącym spełniać należycie swych obowiązków, o ile to dotyczy znoszenia jaj. Poszły one w tym wypadku w ślad za francuskiemi kobietami, które, aby na tem nie ucierpiały ich wdzięki, przyjęły jako *maximum* potomstwa dwoje dzieci. Francya stanęła smutkiem tego wobec niebezpieczeństwa wyludnienia, tak jak obecnie znalazła się w przededniu „żółtego niebezpieczeństwa", to jest braku jaj co uniemożliwiło Francuzom raczenie się jajecznicą. O ile pierwszemu niebezpieczeństwu zaradziło już częściowo odwołanie się do obywatelskiego poczucia Francuzek, o tyle drugie usunąć może jedynie import jaj z zagranicy, gdyż choćby najbardziej nawet przekonywujące perswazye do kurzego serca nie trafią. Ponieważ Polska żyje w przyjaźni z Francyą, a nasze kury nie są jeszcze zarażone zachodnim ruchem emancypacyjno-jajowym, wyłonił się projekt, aby jaja sprowadzać od nas do Francyi, gdzie mogłyby liczyć na zbyt, co równocześnie przyczyniłoby się do poprawy naszej waluty bodaj o jednego centima na stu markach.

Kronikarz nie na żarty zabił sobie głowę owemi jajami (wolałby zapewne żołądek!... — przyp. zecera) i nosi się z myślą zajęcia się tą sprawą, aby bodaj w ten sposób przyłożyć swą cegiełkę do uprzemysłowienia kraju. Choć bowiem go wygłodzi, poprawi walutę i zasłuży sobie jeśli nie na pomnik, to przynajmniej na wdzięczność współobywateli.

Jako praktyczny człowiek przeprowadził zatem z ołówkiem w ręku przedwstępną kalkulacyę, która wykazała płynące stąd korzyści, mogące bardzo łatwo zasilić poważnie dziurawą jego kieszeń. Jajko w Paryżu, jak donosi informator, kosztuje obecnie pół franka, a liczyć się trzeba w najbliższym czasie jeszcze ze zwyżką ceny, gdy natomiast u nas nabyć je można na targu za piętnaście marek. Jeśli się zważy, jaka jest różnica między kursem franka a marki, dojść się musi do przeświadczenia, że podobne przedsiębiorstwo prowadzone racyonalnie i na większą skalę opłaciłoby się sowicie. Przyjmijmy wartość franka tylko na trzysta marek, koszta nabycia jednego jaja w kwocie piętnastu, transport i asekuracyę choćby dwadzieścia, „starania o pozwolenie na wywóz" dziesięć, różne nieprzewidziane wydatki pięć od sztuki, a wyniknie z rachunku, że na jednem jaju zarobi wysyłający na czysto sto marek. Jaj u nas nie brak, choć dla inteligentnego proletaryusza nie są one dostępne. Kronikarz jest naprzykład wielkim amatorem jajecznicy, z którą jednak od lat kilku się nie widział, a tem samem nie mógł jej „dać buzi", o ile bowiem znalazły się jajka, nie było masła, lub odwrotnie, by zaś módz sobie pozwolić na zakupno jednego i drugiego artykułu, trzeba być nie kronikarzem, lecz conajmniej... szewcem, piekarzem lub podobnym dawniej proletaryuszem, dziś burżujem. Jajecznica z czterech jaj, sporządzona w domu, kosztuje około sto marek, to zaś przekracza ramy kronikarskiego budżetu, zwłaszcza, że po jej spożyciu, czuje się dopiero apetyt „na coś lekkiego", dziś zaś trudno sobie pozwolić nawet na kromkę chleba z zakalcem.

Na eksport jaj zatem nie braknie, potrzebny jest jedynie kapitał zakładowy na puszczenie w ruch przedsiębiorstwa. Ponieważ zaś kronikarz gotówki nie posiada, jest jedynie właścicielem podręcznika prof. Górki, w jaki sposób można zdobyć milionowy majątek, a to na uruchomienie owego polsko-francuskiego interesu jajczanego nie wystarcza, *ergo* poszukuje wspólnika z odpowiednim kapitałem, celem zawarcia z nim umowy handlowej. Spółka ta, do której kronikarz włoży swe doświadczenie a ten drugi kapitał, po pewnym czasie może zostać zlikwidowaną, choćby z tym skutkiem, i to byłoby najbardziej pożądane, że kronikarz wyszedłby z niej z kapitałem, a wspólnik z doświadczeniem, nakazującym mu, aby się na przyszłość nie bawił w podobne przedsiębiorstwa. Wiadomo to bowiem, że każda spółka oparta jest z zasady na tem, iż jeden wspólnik stara się drugiego oszwabić czasem zaś obydwaj wychodzą z niej bez... kamizelki.

W każdym razie, o ile znalazłby się amator, zechce się zgłosić celem bliższego omówienia sprawy. Mamy wolny handel, warto zatem z niego skorzystać, o pozwolenie na wywóz także nie będzie trudno, o ile użyje się wymownych argumentów celem przekonania odpowiednich czynników, od których to zależy.

Być może, że Kronikarz wspólnika nie znajdzie, a sam, jako forsy pieniężnej nie posiadający, przedsiębiorstwa nie rozpocznie, natomiast ktoś inny skorzysta z podanego przez niego projektu. Byłoby wówczas wskazanem, aby nie zapomniał o projektodawcy i starał mu się odwdzięczyć, bodajby przesłaniem od czasu do czasu kilku jajek na jajecznicę, ale wraz z odrobiną masła i cetnarem węgla, by ją było na czem i przy czem usmażyć.

Podanie dobrego projektu ma wielkie znaczenie i zasługuje na uznanie i nagrodę, jak to stwierdził pewien obywatel wyznania mojżeszowego, który pewnego razu zgłosił się u znanego odgadywacza myśli, aby się przekonać, czy ten w samej rzeczy wpadnie na to, co mu chodzi po głowie. Umówiono się z góry o honoraryum, które badany, w wysokości pięćdziesięciu koron, musiał złożyć przed rozpoczęciem seansu. Odgadywacz posadził go następnie na krześle, obmacał jego głowę, wpatrzył się bystro w jego oczy, wreszcie oświadczył:

— Pan łaskawy myśli o tem, że należałoby ogłosić niewypłacalność i zawrzeć z wierzycielami umowę na trzydzieści pięć procent...

Badany uśmiechnął się słodko, poczem wyjął portfel z niego sto koron i podał je odgadywaczowi.

— Zatem zgadłem?... — zapytał tenże, sam dziwiąc się swej domyślności.

— Nie zgadł pan, ale mi pan podał bardzo dobry projekt, z którego nie omieszkam skorzystać... — odparł zagadnięty.

Skoro mowa o spółkach i o wzajemnym stosunku wspólników do siebie, łatwo zrozumieć, dlaczego nasze stronnictwa sejmowe nie mogą się w żaden sposób zgodzić na wspólne działanie i utworzenie w ten sposób zwartej większości. Poprostu w myśl przytoczonej wyżej zasady, jedno boi się drugiego, aby nie być przez nie „wykiwanem", gdy natomiast samo nie miałoby nic przeciwko temu, aby wspólnika wziąć na kawał, a sam zrobić dobry interes. Bo to dziś już taka moda, że każda jednostka, czy to pojedyńcza czy zbiorowa, myśli tylko o swym własnym interesie. Widzieli my to aż nazbyt jaskrawo na całorocznych rządach ludowców, którzy pamiętali tylko o sobie, o kraju i reszcie stronnictw zupełnie zapominając. Dziś, gdy schodzą z politycznej widowni, choć nie bez nadziei, że na nią jeszcze powrócą, nekrologi, jakie im poświęcono, nie szczędzą zarzutów, wytykając im ich sobkowstwo, a dotąd nie znalazł się nikt, z wyjątkiem *Gońca i Piasta*, kto potrafiłby przytoczyć coś na ich pochwałę. Ubzdurało się im wprawdzie, że oni to a nie kto inny uratowali Polskę w czasie zeszłorocznego najazdu bolszewickiego, ale i w tem zaszła pomyłka, gdyż jak twierdzi słusznie jedno z pism, chłopi ruszyli dopiero wówczas liczniej na obronę kraju, gdy im zagrożono sądami doraźnymi.

W poprzedniej kronice zaznaczyliśmy, że, zanim numer się okaże, będziemy mieć już nowy zapewne gabinet, pokazuje się przecież, że się pomyliliśmy, bo do tego, jak się obecnie okazuje, tak łatwo nie przyjdzie, właśnie z powodu trudności, jakie nastręcza utworzenie większości, na której mógłby się oprzeć. Przysłowie wskazuje wprawdzie na ręce, jako na budujący przykład zgody, w Sejmie jednak jest zupełnie inaczej, gdyż tutaj prawica rada byłaby utopić lewicę w łyżce wody, i odwrotnie. Wystarczy, aby któreś z stronnictw prawicowych powiedziało, że coś jest białe, aby lewica orzekła, iż to jest czarniejsze od nocy. W takich warunkach trudno w samej rzeczy zlepić ową nieszczęśliwą większość, a gdyby się to nawet udało, nie ma się gwarancyi, że się ona za jaki tydzień w kawałki nie rozsypie. Dla bezstronnego, ale uczciwie myślącego obserwatora dziwnie przedstawiać się musi oświadczenie jednego z stronnictw lewicowych, iż bezwzględnie będzie zwalczać gabinet utworzony przez prawicę. Nie jest wykluczonem, że taki rząd mógłby uczciwie zabrać się do pracy, ale musiałby być z góry na to przygotowanym, że najlepsze jego zamiary spotkają się z opozycyą przeciwników. Zupełnie to samo zapowiada prawica, gdyby stronnictwa lewicowe ujęły rządy w swe ręce. Najciekawiej jednak wygląda zapewnienie tych stronnictw, które, godząc się na powołanie swych przeciwników do steru, nie obiecują im wprawdzie poparcia, jedynie przyjazną neutralność, ale pod warunkiem, że przedewszystkiem uwzględnione będą ich postulaty.

Toczą się zatem w Warszawie publiczne przetargi o mocno uszkodzony, ale zdatny jeszcze do użytku fotel prezydyalny, a dzięki im dowiadujemy się, a z nami i świat cały, o tem bezdennem bagnie, w jakie nas dotychczasowe nasze rządy wpakowały. Trudno też znaleźć takiego, kto podjąłby się wyciągnąć z niego Rzeczpospolitą, oczywiście o ile chciałby to zrobić na seryo, to jest uwzględniając dobro ogółu, a nie stronnictwa swojego. Kandydatów takich, którzy gwarancyi godnego spełnienia swych obowiązków nie dają, jest aż zadużo, takiego jednak, który mógłby nas wyratować z nieszczęścia, niema widocznie w całym zespole sejmowym, skoro w chwili, gdy piszemy tę kronikę, wyłonił się projekt utworzenia gabinetu pozaparlamentarnego.

Czy się jednak znajdzie tak łatwo osobnik, który chciałby się babrać w błocie, jakiego inni narobili, to pytanie bardzo wielkie. A choćby się nawet i znalazł mąż Opatrznościowy, ożywiony obywatelskiemi uczuciami, decydujący się na ratowanie ojczyzny, będącej w niebezpieczeństwie, czy nie odstraszy go przykład Bilińskiego, którego powołano w krytycznej chwili do sanacyi naszych finansów, jako jedynie fachowego, ale tylko po to, aby go w kilka tygodni wygryźli dyletanci.

Taki sam zupełnie los spotkał i dra Steczkowskiego. Podjąwszy się ciężkiego zadania zabrał się szczerze do pracy, widząc jednak, że Augiaszowej stajni nie oczyści, bardzo rychło poprosił o dymisyę, na liczne perswazye i przedstawienia zdecydował się wreszcie zatrzymać portfel, lecz nie na długo, gdyż spostrzegł, że jego dobre chęci paraliżowane są stale przez innych kolegów gabinetowych, lubiących wydawać pieniądze i dopominających się o nie stale, ale bynajmniej się nie troszczących, skąd je wziąć. Na odchodnem dostało mu się jeszcze „kopnięcie osła" ze strony dyrektora P. K. K. P.

A i w dzisiejszych warunkach, i to może w jeszcze większym zakresie niż poprzednio, minister skarbu znajdzie pole do rozwinięcia swej działalności, aby nas uchronić przed grożącem nam bankructwem. Marka polska przedstawia zaledwie wartość papieru, na którym jest wydrukowaną, maszyna podatkowa prawie zupełnie nie funkcyonuje, spekulacye naszych aferzystów giełdowych obniżają nasz kredyt za granicą, wszystko to ma naprawić nowy minister skarbu, który równocześnie musi swym kolegom dawać lekcye oszczędności. Czeka go zatem zadanie trudne i niewdzięczne, aby mu sprostać, trzeba być naprawdę fachowcem, mieć energię i dobre chęci, a przedewszystkiem swoje własne zdanie.

Ostatnie wiadomości z Warszawy donoszą, że na premiera gabinetu pozasejmowego upatrzony jest rektor Panikowski, który obecnie konferuje z przedstawicielami poszczególnych stronnictw, ażeby wysondować ich opinię. Każdy z nich oświadcza mu gotowość poparcia lub przynajmniej „życzliwej neutralności" o ile, jak to wyżej już zaznaczyliśmy uwzględnione zostaną interesy partyi, którą reprezentuje. Aby wszystkich zadowolić, należałoby w gabinecie postawić tyle foteli ile jest stronnictw, a i to jeszcze nie załatwiłoby sprawy, gdyż tylko ważniejsze portfele znajdują chętnych nabywców, o drobniejsze nikt się nie stara. W każdem stronnictwie jest ponadto tylu „mężów ministerealnych", czujących w sobie siły i ochotę do rządzenia, iż aby wszystkim zadość uczynić, należałoby fotele zastąpić kanapami, by na nich mogło zasiąść po kilku polityków równocześnie, a to w obecnych stosunkach, z powodu drożyzny, mebli i przerażających pustek w naszej kasie państwowej przeprowadzić się nie da.

Rektor Panikowski nie tak łatwo więc umebluje swój gabinet, któremu nie można wróżyć długotrwałości już choćby z tej tylko przyczyny, że posłowie spoglądać będą „krzywem okiem" na ludzi obcych, sprzątających im z przed nosa teki, na które oni mieli apetyt. Zadaniem nowego rządu będzie przedewszystkiem rozwiązanie Sejmu, przeprowadzenie nowych wyborów, oraz uporządkowanie bodajby tylko najważniejszych spraw, aby następny, już z łona Sejmu pochodzący miał usunięte z swej drogi trudności.

A do tego trzeba silnej ręki i żelaznej woli.



Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: 1) Krzyż pod Wodzisław'em, poświęcony pamięci poległych 2) Karabin maszynowy na pozycyi nad Odrą w tak zwanem „gnieździe".

Po zorganizowaniu powstańców w oddziały bojowe, dowództwo napotkało na ogromne trudności aprowizacyjne i mundurowe oraz finansowe, nie mówiąc już o amunicyi.

Powstańcy całe tygodnie i miesiące nie pobierali żołdu, odżywianie było liche, brak odzieży i amunicyi, wszystko to wpływało ujemnie na ogólny stan moralny powstańców, a jednak mężnie i bohatersko odpierali atak za atakiem Niemców. Tak 24 maja b. r. Niemcy o godzinie 4 rano pod osłoną swego pociągu pancernego przerwali się przez most na Odrze około Olzan, wycięli stojącą tam kompanię 14 p. p. i posuwając się naprzód w kierunku Włodzisławia, zajęli prawy brzeg Odry, przy jednoczesnym ataku na Włodzisław.

14 p. p. zaskoczony bystrem posuwaniem się nieprzyjaciela, musiał się cofnąć, by módz się zgrupować i zoryentować w zamiarach nieprzyjaciela. Tu decydującą rolę odegrał por. M., dowódca III. batalionu 14 p. p. Otóż zgromadziwszy około siebie do 20 powstańców, rzucił się do kontrataku w sam środek linii niemieckiej i zmusił prawe jej skrzydło do powrotu ku Odrze. W tej kontrakcyi padł dowódca oddziałów niemieckich, wskutek czego Niemcy, straciwszy swego kierownika, na razie nie mając rozkazów, zatrzymali się, by czekać dalszych dyspozycyi z innego źródła. To właśnie zwłoka dała możność grupie podesłać posiłki, oraz utwierdziła przypuszczenie, że Niemcy nie mają wdać dużo sił, gdyż nie posuwają się naprzód. By zdezorganizować nieprzyjaciela, dowództwo grupy niepokoiło go małemi patrolkami, przygotowując tymczasem większe siły. W południe grupa kap. W. i 14 p. p. przy pomocy pułku raciborskiego pod ogólnem kierownictwem szefa sztabu grupy por. Brunhorsta, przeszła do kontrakcyi, wypierając krok za krokiem nieprzyjaciela do Odry. Tymczasem pan Piechoczek z Pszowa formuje w Pszowie prowizoryczny pociąg pancerny, składający się z jednej lokomotywy i 10 lor, napełnionych workami z piaskiem, wsiada do tego pociągu z 20 powstańcami, przedziera się na tyły nieprzyjaciela koło Olzan, gdzie otwiera ogień z karabinu maszynowego na tyły cofających się pod naporem naszych, Niemców, wnosząc w szeregi bezład i panikę. Mało tego, wychodzi z pociągu i z ręcznego karabinu strzela do nieprzyjaciela, za chwilę pada rażony kulą niemiecką. Koledzy, podjąwszy bohatera, złożyli go na pancerkę jego roboty i odjechali do Pszowa. Tam też pochowano ciało na wieczny spoczynek na miejscowym cmentarzu.

Gdy Niemcy odparci zostali za Odrę, por. Brunhorst z sześciu górnikami rozrywa most kolejowy, utrudniając nieprzyjacielowi dalsze ataki i tak zawdzięczając por. M. i p. Piechoczkowi atak decydujący, jak uważali go Niemcy, został zlikwidowany na naszą korzyść.

Po tym ataku Niemcy długo nie odważyli się niepokoić dzielnych zuchów piastowych, to też korzystając z tego w sztabach wrzała robota organizacyjna, rozdawano ludziom odzież, wypłacano zaległy żołd, napełniano magazyny pułkowe bronią itd.

Każdy pułk starał się u siebie zebrać jak najwięcej broni, dostać pieniędzy, ludzi, powiodło się też w 14 p. p. w doborze dowódców. Dowódca pułku bonat rski Michalski, jego adjutant, niesłychanie obowiązkowy por. S. dowódca III. batalionu rycerski podpor. M., dow. II. baonu, ogromnie lubiany przez powstańców ppor. B, za swą odwagę i męstwo nazwany Piorunem, oraz innych, jak p. Brachmański i Kiermaszek. Żołnierze tego pułku nosili pióra bażancie przy czapkach.

Dużo zasług położył w polu ksiądz Misyonarz Swierczek, niestrudzony, gorliwy, gorący patryota. Zjednał on sobie wielki szacunek tak u przełożonych, jak i u żołnierzy. Dnie całe spędzał z powstańcami na pogawędkach, a nocami w podróży z oddziału do oddziału. Każdą niedzielę urządzał po Mszy św. jakąś rozrywkę dla tych, co siedzieli w okopach, lub wolnych, za jego też inicyatywą dowódca II batalionu urządza wieczorki taneczne w B dinie. Zebrane z tych wieczorków pieniądze idą na wdowy po poległych powstańcach. On też urządza uroczyste postawienie krzyża na pamiątkę poległych w okolicach Włodzisławia przy zamku Kokoszyce. Pochód z krzyżem udał się wspaniale, całe tłumy ludzi z okolic Włodzisławia były obecne. Przy końcu uroczystości wszystkie oddziały II. batalionu 14 p. p. ślubowały, że co roku w ten sam dzień będą odbywały pochód i zmieniały na nowy stary krzyż, który uroczyście będzie na miejscu spalony.



Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: 1) Szef V. oddz. grupy poł. 2) Dowódca II. bat. 14 pp. 3) Lekarz 14. pp. ppor. W.

Troskliwość o los podwładnych sprawiła, że powstańcy z ufnością odnosili się do nich i gdy padł rozkaz, był on święty, a rozkazy padały jeden za drugim. W każdą noc prawie Niemcy starali się przeforsować Odrę, w każdą noc trzeba było odpierać ataki, w każdą noc przy odparciu ataków poległo z pułku 3—4 powstańców, nie licząc rannych. Każdej nocy trzeba było urządzać wywiady



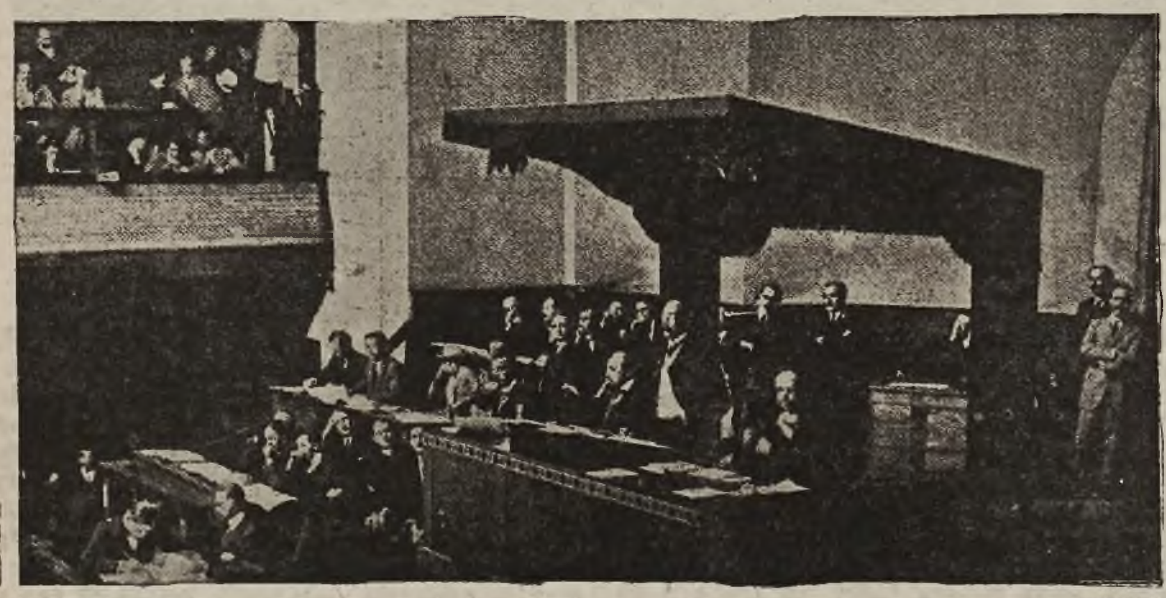
Ze wspomnień uczestnika górnośląskiej grupy południowej: 1) Dowódca artyleryi na objeździe. 2) Dowódca 2 bat. 14 pułku piech. udaje się na linię bojową.

za Odrę, by płoszyć nieprzyjaciela i rozbijać poszczególne oddziały, gotowe do ataku. I trwało to długo, długo — powstańcy acz nie ubrani, bez bielizny, jednak twardy obowiązek żołnierski pełnili bez szemrania, bo widzieli, że ich przełożeni trud ten dzielą z nimi na równi.

Wtem pada rozkaz cofnięcia się od Odry i rozformowania się oddziałów powstańczych, bo powstanie z polecenia Koalicyi ma być zlikwidowane, a miejsce ich zajmą wojska koalicyjne. Gdy wiadomość ta doszła uszu powstańca, ten chwycił się za głowę: „Pierony! Nie puścimy Odry, bo tu zaraz wlezą pludry" — i za żadną cenę nie chcieli odejść i złożyć broni i kto wie, czy nie byłoby tutaj przyszło do wyraźnego nieusłuchania rozkazu, gdyby nie wielkie zaufanie do przełożonych. Trzeba było użyć całego swego wpływu, by powstańcy zgodzili się odejść i broń złożyć. Zgodzili się, ale z niechęcią, z jakimś uśmiechem na twarzy i ze słowami: „O pierony! Niemcy zaraz tu wlezą".

W przeciągu dwu dni oddziałów powstańczych już nie było na terenie ziemi piastowej. Miejsce ich zajęły wojska koalicyjne, nasi zaś odeszli, choć bez broni, ale z twardem postanowieniem dalszej walki, gdy tego będzie potrzeba, do swych chat, by doprowadzić do ładu i porządku swe mienie, pozostawione w przeciągu dwóch miesięcy na łasce słabych kobiet i dzieci. Ale, niestety, dużo ich nie wróciło, dużo pozostało tam, nad Olzą, jako straż przednia, chroniąca granic wytkniętych. A Olza, zarumieniona krwią piastową, co noc szepcze tym duchom bohaterskim: „Jeszcze nie idą. Śpijcie spokojnie. Gdy nadejdą, zbudzi was głos mojej wody".

Adam B.



Nowe prezydyum Ligi Narodów: Przemowa prezydenta Van Karnebecka na plenarnem posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie.

Kompromitacya sowieckich dyplomatów.

Sowieckie poselstwo w Warszawie z p. Karachanem na czele przebywa nad Wisłą czas niezbyt długi, a jednak znalazło już sposobność gruntownego skompromitowania się w oczach całego świata cywilizowanego. Wyświetloną została również prowokacyjna jego działalność, jaką stosunkowo w tak krótkim czasie zdołało rozwinąć na ziemiach polskich.

W nocie swej z 10. września br. sowiecki komisarz dla spraw zagranicznych Cziczerin zarzuca między innemi rządowi polskiemu, że popiera antibolszewickie organizacye i przez II. oddział jeneralnego sztabu polskiego pozostaje z niemi w ścisłym związku. Wywody swe opiera Cziczerin na dokumentach, znajdujących się w jego ręku, a przesłanych do Moskwy przez posła sowieckiego Karachana. Obecnie okazuje się, że tak Karachan, jak i rząd sowiecki padli ofiarą mistyfikacyi, obmyślanej bardzo dowcipnie, aby ujawnić prowokatorską działalność sowieckiego poselstwa w Polsce. Autorem jej jest niejaki Masłowski, z pochodzenia Rosyanin, były oficer armii carskiej. Zgłosił się on w poselstwie sowieckiem w Warszawie, przedstawiając się jako bolszewik i zaofiarował dostarczenie dokumentów, mających wykazać rzekome stosunki polskiego sztabu jeneralnego z wrogami bolszewizmu. Usługi jego skwapliwie przyjęto i nie żałowano pieniędzy na koszta starań o zdobycie dowodów, mających na celu skompromitowanie rządu polskiego, co jednak skończyło się kompromitacyą sowieckiej dyplomacyi.

Masłowski okazał się bardzo gorliwym w służbie szpiegowskiej i znosił Karachanowi prawie codziennie relacye o nieodbywających się zgromadzeniach, dokumenty sfabrykowane przez samego siebie, a opatrzone pieczęciami Urzędu Akcyzy nr. 29, Zarządu Ziem Wschodnich, oraz podobnemi, na co jednak widocznie Karachan nie zwracał uwagi. Dyplomatom sowieckim chodziło głównie o otrzymanie oryginałów korespondencyi między Sawinkowem, a członkami sztabu polskiego.

Cziczerin skorzystał z nadesłanych przez Karachana „dokumentów", a w nocie swej wymienił nazwisko Masłowskiego, co warszawskich przedstawicieli sowietów skłoniło do wysłania tegoż do Niemiec, aby uniknął pociągnięcia do odpowiedzialności. Na koszta podróży wyasygnowano mu pokaźną sumę i zapewniono bezpieczny przejazd przez granicę niemiecką. Przed odjazdem dopominano się koniecznie o oryginały listów polskich oficerów do Sawinkowa, ofiarując na ten cel znowu tysiące, Masłowski wykpił się przecież, twierdząc, że są one w ręku niejakiego Orłowa, który ich wydać nie chce. Wówczas oświadczono ze strony sowieckiej, ze Orłowa należy zgładzić, do czego ludzi dostarczy sowiecka ambasada. Bezpośrednio przed rzekomym wyjazdem do Berlina w cukierni Semadeniego dyplomata sowiecki, Bartszewskij wręczył Masłowskiemu sto tysięcy marek polskich na ugoszczenie oficera, który ma zdradzić ilość dywizyi w armii polskiej, ich rozlokowanie, stan naszej kawaleryi i inne podobne szczegóły.

Masłowski pieniądze wziął, do Berlina nie pojechał, natomiast postarał się o to, ażeby wobec rządu polskiego zdemaskować robotę Karachana i jego towarzyszy. Rewelacye jego wywołały łatwo zrozumiałe poruszenie, a bezpośredniem ich następstwem był odjazd do Rosyi kilku skompromitowanych dyplomatów, między nimi prezesa komisyi repatryacyjnej, Ignatiewa. W ślad za nim powinien pójść niebawem i sam Karachan.



Nowe prezydyum Ligi Narodów: Holenderski minister spraw zagranicznych Van Karnebeck, wybrany przewodniczącym Ligi Narodów.

Nowe prezydyum Ligi Narodów.

W pierwszych dniach miesiąca września ukonstytuowało się nowe prezydyum Ligi Narodów. Fakt ten ma dla nas nadzwyczaj wielkie znaczenie, wynik wyborów daje bowiem poniekąd wyobrażenie o duchu, jaki panuje w tej instytucyi, w której niebawem mają się rozstrzygnąć losy Górnego Śląska i Wilna. Był to zatem pewnego rodzaju przegląd sił przed rozstrzygającą bitwą, a niestety, dla nas wypadł niepomyślnie, okazało się bowiem, że w Lidze Narodów wpływy angielskie przewyższają francuskie, co stwierdził wybór prezydenta w osobie protegowanego przez Anglię holenderskiego ministra spraw zagranicznych Van Karnebecka przeciw postawionej przez Francyę Brazylijczyka, da Cunha. Wynik wywołał też w Paryżu łatwo zrozumiałe przygnębienie, które echem odbiło się i w Warszawie, zwłaszcza gdy dowiedziano się nadto, że jednym z wiceprezydentów został dr Benesz.

Wybór prezydenta Ligi odbył się na drugiem plenarnem jej posiedzeniu, a został on poprzedzony dyskusyą, dotyczącą procedury wyboru. Prowizoryczny prezydent zgromadzenia Wellington Koo, otworzywszy posiedzenie, przypomniał przedewszystkiem zebranym, że zgodnie z regulaminem przy wyborze prezydenta zgromadzenie obowiązuje zasada tajnego głosowania. Następnie zwrócił się do delegacyi z prośbą o postawienie kandydatów. Wtedy delegat angielski lord Balfour postawił kandydaturę delegata holenderskiego, m. n. spraw zagr. Karnebecka. Bezpośrednio po Balfourze, zanim jeszcze inni delegaci zdołali zabrać głos i wysunąć jakiegokolwiek kandydata, zabrał głos delegat Kolumbii, protestując przeciwko jawnemu wystawianiu kandydatów, żądając i pod tym względem tajności.

Propozycya delegata Kolumbii, natychmiastowe



Pomoc dla głodnej Rosyi: Załadowywanie pierwszego transportu żywności amerykańskiej dla Rosyi w porcie ryskim.

go przystąpienia do tajnych wyborów, została przez zgromadzenie przyjętą. Za projektem głosowali między innymi delegaci Francyi Polski, Rumunii i Czechosłowacyi. Przy pierwszem głosowaniu Karnebeck otrzymał głosów 19, da Cunha, wysunięty przez Take Jonescu 12 głosów, Hotta (Szwajcaryi) 4 głosy, Blany (Urugway) 4 głosy. Po powtórnem głosowaniu wyłącznie pomiędzy Karnebeckiem a Cunhą pierwszy otrzymał 21, drugi 12. Wynik ten przyjęli delegaci oklaskiem, z wyjątkiem przedstawicieli Francyi, którzy w owacyi udziału nie wzięli.

Fakt sam jest bardzo znamienny i może być w konsekwencyach niezmiernie doniosły. Oznacza on bowiem rozegranie pojedynku pomiędzy angielską, a francuską koncepcyą sprawy górnośląskiej. Stosunek oddanych głosów przy wyborze przewodniczącego Ligi wydaje się antycypować tę samą mniej więcej proporcyę głosów przy zasadniczem rozstrzygnięciu górnośląskiego zagadnienia. 22 głosów oddanych na Holendra — to blok angielski, któremu przeciwstawia się tylko 12 głosów francuskich.

„Temps" omawiając wybór nowego prezydenta Ligi Narodów pisze, że ten mąż stanu złożył dowody, iż jest doskonałym administratorem. Należy nadto się spodziewać, że Liga Narodów zyska wiele w swym rozwoju, dzięki jego wielkiej znajomości spraw prawniczych. Jest rzeczą konieczną, aby prezydent Ligi był jak najobjektywniejszym. Karnebeck odpowiada tym wymaganiom.

Następne posiedzenie zgromadzenia Ligi poświęcone było dokonaniu wyboru 6 wiceprezydentów zgromadzenia. W głosowaniu wzięło udział 39 państw. Przy pierwszem głosowaniu głosy padły w sposób następujący: Bourgeois (Francyi) 29 głosów, da Cunha (Brazylii) 29 głosów, Balfour (Anglia) 25 głosów, Ishii (Japonia) 23 głosy Hymanns (Belgia) 22 głosy, Benesz (Czecho-słowacyi) 17 głosów, Torriente (Kuba) 14 głosów, Askenazy (Polska) 11 głosów, Blanco (Urugway) 9 głosów, Motta (Szwajcaryi) 9 głosów, Lord Cecil (Afryka poł.) 4 głosy. Wobec uzyskania dostatecznej liczby głosów w pierwszem głosowaniu zostali wybrani: Bourgeois, da Cunna, Balfour, Ishii i Hymanns. Następnie przy głosowaniu odbytem pomiędzy Beneszem i Torriente, Benesz został wybrany 20 głosami, podczas gdy Torriente otrzymał 19 głosów.

Prócz powyższych 6 wiceprezydentów wybranych bezpośrednio przez zgromadzenie, wiceprezydentami zgromadzenia są również prezydenci 6 komisyi, które ukonstytuowały się bezpośrednio.

Pomoc dla głodnej Rosyi.

Katastrofa głodowa w Rosyi, która rozmiarami swymi przeszła wszystkie dotychczasowe, objęła niemal całe terytorium byłego rosyjskiego imperyum. Liczbę głodujących obliczają na trzydzieści pięć milionów, najbardziej dotkniętemi są gubernie nadwołżańskie, słynne dotąd z swej zasobności i stanowiące poniekąd spichlerz Rosyi. Brak w nim artykułów spożywczych odbić się musiał na całym kraju.

Rząd sowiecki oficyalnie i prywatnie zwrócił się do całego świata z prośbą o pomoc dla głodujących, nie spotkał się też z odmową, choć przyrzeczenie pomocy połączone było z postawieniem pewnych warunków ze strony z nią spieszących. Warunki te nie były oczywiście tak ciężkie, jak owe, które podały pisma zagraniczne, w każdym razie nie poszły one w smak sowieckim wielkorządcom, którzy jednak, zmuszeni koniecznością, bez zastrzeżeń je przyjęli. Rozpoczęła się też akcya ratunkowa na rzecz głodnej Rosyi, a pierwszymi, którzy pospieszyli z czynną pomocą byli Amerykanie. Pierwsze ich statki naładowane żywnością, zawinęły do Rygi już w dniu pierwszego września b. r.



Pomoc dla głodnej Rosyi: Wagony sowieckie przybyłe po żywność amerykańską do Rygi.



Wasyl Wyszywany daje znowu znak życia: Były austr. arcyks. Wilhelm z Żywca kandydat na atamana Ukrainy.

Europejskie państwa koalicyjne wysłały na razie do Rosyi swą komisyę, mającą zbadać na miejscu panujące tam stosunki, a na jej czele postawiono Noulensa, co dało Cziczerinowi sposobność do wystosowania bardzo ostrej noty pod adresem Francyi, Anglii, Włoch i Belgii, w której oświadcza, że jest mocno zdziwiony faktem, że właśnie Noulens zapamiętały wróg rosyjskich chłopów i robotników, został wybrany przewodniczącym komisyi.

Dalej konstatuje Cziczerin, że akcye Hoovera i Nansena już niosą pomoc głodującym, podczas gdy międzynarodowa komisya zaczyna dopiero przeprowadzać swoje badania. Zdaniem Cziczerina zachodzi obawa, że komisya wywiadowcza, udająca się do Rosyi pod płaszczykiem miłości bliźniego, rozwinie działalność szpiegowską na rzecz protegowanych przez Francyę wrogów Rosyi. Cziczerin wyraził swoje zdumienie, że pośród członków komisyi wywiadowczej znajduje się także przedstawiciel Japonii, która przecież stoi w otwartej wojnie ze sprzymierzonemi z sowietami republikami dalekiego Wschodu.

Ordynarna i cyniczna odpowiedź rządu sowietów na żądanie międzynarodowej Komisyi głodowej, by natychmiast na teren głodowy wysłać ekspertów, sprowadzić może nieobliczalne następstwa dla całej akcyi ratunkowej.

Odpowiedź ta wywołała zrozumiałe oburzenie opinii angielskiej. Rząd sowiecki gra dziwną rolę. Pisze noty pewne siebie, bagatelizujące rozmiary katastrofy głodowej, jakby drwiąc sobie z opinii Europy.

Równocześnie z notą Cziczerina publikuje „Graphic" list Litwinowa, pisany do jego brata. List to oczywiście prywatny, w którym autor, powróciwszy świeżo z terytoryum objętego głodem, pisze, że rozmiary klęski przeszły wszelkie wyobrażenia.

W Rosyi panuje kompletny brak żywności. Sławna katastrofa głodowa z r. 1891 była niczem wobec obecnej. Litwinow konstatuje najzupełniejszą ruinę organizacyi państwowej, kolei, środków transportowych, przytacza mrożące krew w żyłach szczegóły: ludzie zaprzedają się w niewolę za kilka funtów mąki. Na takiem tle trudno istotnie zrozumieć zarozumiałość i arogancyę sowietów.

„Daily Telegraph" donosi, że usiłowania Nansena, by przekonać angielskie koła rządowe o konieczności udzielenia sowietom kredytów w wysokości 10 milionów funtów dla złagodzenia klęski głodowej, pozostały bez rezultatu, co może być słusznie uważane za odpowiedź rządu angielskiego na notę Cziczerina, który zbyteczną pewnością siebie oddaje prawdziwie niedźwiedzią przysługę głodującym, paraliżując akcyę ratunkową.

Wasyl Wyszywany daje znowu znak życia.

Operetkowy kandydat jeśli nie na tron ukraiński, to bodaj na stanowisko atamana, Wilhelm *false* Wasyl Wyszywany *recte* Habsburg, syn arcyksięcia Karola Stefana z Żywca, pułkownik armii zachodnio-ukraińskiej, przyjaciel metropolity Szeptyckiego i podobno jeden z ubiegających się o rękę córki byłego atamana ukraińskiego Skoropadskiego, o którym jakiś czas było cicho, przypomina się znowu opinii publicznej. Nieprzejednany wróg Polaków, a zwolennik ukraińskiej kultury, niefortunnymi swoimi wystąpieniami zmusził nadawno temu ojca swego do ogłoszenia listu otwartego, w którym zaznacza, że z postępowaniem swego syna się nie solidaryzuje. W odpowiedzi na to ogłosił i Wasyl swój list otwarty, w którym w buńczuczny sposób podaje do wiadomości ogółu, że na podstawie statutu rodziny Habsburgów jest pełnoletni i jako taki sam za swe czyny przyjmuje wszelką odpowiedzialność.

Obecnie znowu wypłynął Wasylko na widownię publiczną.

Prasa ukraińska zaczyna żywo zajmować się osobą osławionego atamana Wasyla Wyszywanego z Żywca. „Wpered" podaje ciekawe szczegóły z zatargu tego kandydata, z rządem Ukr. Rady Narodowej. Akcya, jaką operetkowy kandydat do tronu ukraińskiego nawiązał za granicą spowodowała sprzeciw przedstawicieli U. R. N. Zarzewie nowego nieporozumienia tworzy artykuł Wyszywanego, pomieszczony w piśmie wiedeńskiem „Neues Wiener Journal" i zawierający krytykę oryentacyi U. R. N. Oświadcza on obecnie, iż jest pułkownikiem zachodnio galicyjskiej armii U. R. N., która przestała mu... wypłacać pensyę pułkownika. Zabiera w tej nowej aferze głos „Ukraińska Trybuna" i zaprzecza wiadomościom, jakoby U. R. N. wspierała pieniężnie agitacyę Wyszywanego i twierdzi, że przesyłane mu kwoty pieniężne idą na poczet długu, należnego mu od U. R. N. za sprzedaż cennego... samochodu.

„Wpered" pomieszcza sprostowanie E. Czekalenki jakoby on miał stanąć na czele rządu Wyszywanego. „Wpered" wyprowadza wniosek, że jednak koncepcya nowego rządu ukraińskiego istnieje rzeczywiście w umyśle habsburgskiego neofity i, że Wyszywany dąży do jej realizacyi.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.